

Jazzowe zaduszki. „Komeda” w Teatrze Nowym

Pierwsza w tym sezonie premiera Teatru Nowego to opowieść o Krzysztofie Trzczańskim, genialnym kompozytorze jazzowym.

IZABELLA ADAMCZEWSKA

Jarosław Murawski, autor tekstu i Lena Frankiewicz, reżyserka, serwują widzom jazzowe zaduszki. W sownym, zaprzęganym alkoholem wieczorku wspomnieniowym biorą udział Marek Hłasko i Wojciech Frykowski, którzy - wraz z Komeda - wyjechali za Północnym robić karierę w Hollywood i „w kalifornijskim słońcu splonęli jak ćmy”. Tak mówi o nich w spektaklu Zofia Komeda, która męża, Hłaskę i Frykowskiego przeżyła o lat 40. Scenariusz zbudowano na bazie jej wspomnień i książki jej syna, Tomasa Lacha („Ostatni tacy przyjaciele”). Murawski sięgnął też z autobiografii Polańskiego i listów Hłaski, a także dokumentów audiowizualnych i tekstów prasowych. I to właśnie głos Komedy wybrzmiewa najmocniej. Silna kobieta, rządziła nie tylko domem, ale i życiem zawodowym męża. Iwona Bielska gra Komeda brawurowo, przyćmiewając pozostałych aktorów, zwłaszcza Tomasza Karolaka w roli Hłaski (na miejscu Karolaka nie wychodziłabym na scenę z Bielską).

„Komeda” to nie spektakl biograficzny, to spektakl o budowaniu biografii, z grząską materią cudzych wspomnień i spekulacji. Czy Hłasko faktycznie Komeda popchnął, co spowodowało krwawiak mózgu? Czy już wtedy nie „piękny dwudziestoletni” „kaskader literatury” popił leki alkoholem, żeby popełnić samobójstwo? Nie wiadomo. W wyciszonym studiu nagrań głosy zmarłych ścierają się i rozpraszają. O ile jednak o wersjach śmierci Komedy ze sceny się dyskutuje (tragiczny w skutkach upadek od-



TOMASZ STAA, CZAK / AGENCJA GAZETA

Tomasz Karolak i Monika Buchowiec

tworzony jest przez Mateusza Janickiego właśnie po to, żeby jeszcze to podkreślić), o tyle postać Frykowskiego (Michał Bieliński, w każdej roli taki sam) przedstawiona jest irytująco jednoznacznie. Murawski zrobił z niego wyjątkowo antypatycznego typka, który, kiedy Komeda jest w śpiączce, kradnie jego kluczyki od mustanga.

„Komeda” jest również spektaklem o budowaniu legendy (stał się „idealny, taki, jakiego potrzebujemy - nawet noga mu się wydłużyła i przestał kuleć”) i polskiej kulturze eksportowej. Dlatego na scenę wkracza Adam Kupaj upozowany na Chopina (chyba właśnie na premierze po raz pierwszy w pełnej charakterystyce, bo Bielska aż parsknęła na jego widok), z - jak powiedzielibyśmy dawniej - skrofulicznym kaszlem, choć Karolak-Hłasko go uświadamia: to nie była gruźlica, tylko mukowiscydoza. Ze sceny pada pytanie o miejsce Komedy w „narodowym imaginariu”. Nie ma przecież wódki „Komeda”. Krytykujący polski gust, Chopin-Kupaj opowiada o wyższości Sasnała nad Kossakiem i „trójcy świętej” - Papieżu Polaku, Szymborskiej i Miłoszu. Jako upersonifikowana Ameryka dołącza do Chopina Monika Buchowiec (również Mia Farrow), z uniesionym jak pochodnia Statuy Wolności no-

żem (wyglądającym - nieprzypadkowo - jak nóż do krojenia tortu).

Na pewno spektaklowi nie szkodzi autotematyczność. Widać, że realizatorzy spirali się, o czym on powinien być. To pytanie pada ze sceny nieraz. „O środowisku polskich jazzmanów!” - buntuje się Komeda. „Czy możemy wrócić do Komedy? To nie jest historia o Hłasce” - mówi. Oparty na improwizacji początek, niespójność przedstawienia i widoczne szwy (nawet, jeśli powodem był pośpiech w przygotowywaniu spektaklu), dobrze się wpisują w interpretację tematu. ●